

Dzieła literackie ostatniego dwudziestolecia - ankieta

Druga dekada XXI wieku właśnie dobiegła kresu. Utwory powstałe w tym czasie nie doczekały się jeszcze ostatecznej hierarchizacji, choć z pewnością wiele z nich zostało już poddanych krytyce czy docenionych przez specjalistów i odbiorców nieprofesjonalnych oraz otrzymało nagrody. W ankiecie jest zatem miejsce zarówno na nieskrępowany osąd dzieł ostatniego dwudziestolecia, jak i na odniesienie się do opinii badaczy i czytelników.

Najdoskonalsze artystycznie utwory literatury polskiej ostatniego dwudziestolecia.

Maciej Libich: Nie będę pewnie szczególnie oryginalny, jeśli zacznę od garści uwag na temat samej formy ankiety, nic jednak na to nie poradzę – mam ogromny kłopot ze sporządzeniem listy najdoskonalszych artystycznie tekstów ostatniego dwudziestolecia. Nie tylko dlatego, że samo pojęcie „artystycznej doskonałości” powoduje u mnie nerwową potliwość, i nie tylko dlatego, że najchętniej na resztę życia zagrzebałbym się w powieściach i opowiadaniach, które powstały jeszcze w ubiegłym tysiącleciu: Buczkowskiego, Haupta, Kuśniewicza albo kilku wspaniałych Węgrów: Tolnáiego, Nádasza czy Csáthna. Mam kłopot przede wszystkim ze względu na dręczące mnie poczucie niedoczytania. Z jednej strony czytam oczywiście więcej niż tak zwany statystyczny Polak, bohater raportów Biblioteki Narodowej, z drugiej – o wiele mniej niż Popularny Krytyk Literacki, który co tydzień omawia kilka książek; przycupnąłem gdzieś pomiędzy. Literaturę zajmuję się zresztą profesjonalnie (to słowo powinienem może ująć w cudzysłów) od kilku lat, siłą rzeczy nie mogłem więc śledzić rynku, kiedy wychodziły na przykład *Morfina* Szczepana Twardocha albo *Pióropusz* Mariana Pilota, albo *Jadąc do Babadag* Andrzeja Stasiuka. Wreszcie jest też kwestia doboru lektur – czytałem przecież i to, co chciałem, i to, co mi czytać kazano, w związku z czym potrafiłem poświęcić kilka dni, żeby napisać o felietonach Janusza L. Wiśniewskiego dla „Nowych Książek”, chociaż w tym czasie mogłem chwycić, bo ja wiem, za *Księgi Jakubowe*, których do dziś nawet nie otworzyłem. Mówię o tym dlatego, by było jasne, że mój „kanon”, to w rzeczywistości żaden kanon – nie śmiałybym podjąć się takiego zadania – tylko lista lekturowych zachwyków. Zanim więc do nich przejdę, ostatnia uwaga: dramatów nie czytam poza drobnymi wyjątkami, poezję wprawdzie czytam, a czasem nawet lubię, ale w dużej części są to propozycje

wysyłane do „Wizji”; koniec końców najchętniej sięgam po prozę. Dlatego proporcje będą, zdaje się, nieco zawyżone na jej korzyść.

Zaczynam od Adama Wiedemanna. Wprawdzie *Wszędobylstwo porządku* i *Sęk pies brew*, które podobają mi się najbardziej, ukazały się w drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych, niemniej *Sceny łóżkowe* (2005) są chyba równie dobre. Nie chodzi zresztą o same prozy – ani o pojedyncze teksty, ani o ich układ w książce – tylko o język Wiedemanna, równie przewrotny i w wierszach, i w opowiadaniach, i w recenzjach; o czymkolwiek by Wiedemann napisał (a pisze często właśnie o czymkolwiek), zachwyca. Podobnie myślę o prozie Janusza Rudnickiego – i z podobnych powodów mi się ona podoba; *Chodźcie, idziemy* (2007) i *Śmierć czeskiego psa* (2009) to arcydzieła czegoś, co nazwałbym oszczędnym gadulstwem, które pewnie w każdym innym przypadku okazałoby się nudne. Zarówno Wiedemann, jak i Rudnicki do perfekcji opanowali postugiwanie się ironią, choć Wiedemann jest pewnie bardziej ironistą postmodernistycznym, zgorzkniałym, który z wyższością patrzy na otaczający go świat, podczas gdy Rudnicki siedzi sobie w tym świecie, zanurzony głęboko po uszy, ciesząc się jego nędzą. Tę nędzę dostrzega też – kto wie, czy nie przenikliwiej na swój sposób – Zyta Rudzka, choć pod względem stylistycznym znajduje się na przeciwległym biegunie, bo pisze wyjątkowo oszczędnie, a niekiedy wręcz minimalistycznie. Jej *Krótką wymianą ognia* (2014) to naprawdę doskonała powieść, w której każde zdanie przypomina wystrzał z karabinu maszynowego. Tyle zmieścić w swojej prozie, tak nicując przy tym język, potrafi tylko Rudzka.

Zostaną jeszcze na chwilę przy autorach i autorkach, których tekstami w latach dziewięćdziesiątych XX wieku i pierwszej dekadzie XXI wieku zachwycał się Henryk Berezka. Jakkolwiek czasem nie po drodze mi z wyborami Berezki – szczególnie tymi z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, bo Słukiem i Schubertem umiem cieszyć się tylko do pewnego stopnia – to kolejne pokolenie pisarzy, któremu patronował, uwielbiam niemal bez zastrzeżeń. Wśród nich muszę wyróżnić Waldemara Bawołka. Wprawdzie niespecjalnie podobają mi się *Pomarli* (2020), zdobywcy Nagrody Literackiej Gdynia, a świetne i docenione *Echo słońca* (2017) wydaje mi się w sumie najmniej Bawołkowe, wybieram więc nieco przekornie *Furtkę przy dozorczy* (2021), wydaną dosłownie kilka miesięcy temu – nieco surrealistyczną epopeję narodową, która opowiada o remoncie krakowskiego bloku. W tej budowlanej prozie jest wszystko, co u Bawołka najlepsze: literacka świadomość, jednak intencjonalnie maskowana w nieudolny sposób, odważne poszukiwania metafizyki, niepokojący, acz niepornograficzny erotyzm balansujący zawsze gdzieś pomiędzy wstrzemięźliwością i przesadą. Nawiasem mówiąc, szkoda, że podsumowujemy tylko ostatnie dwudziestolecie, bo do tego zestawu, któremu patronuje Berezka, dorzuciłbym jeszcze *End & Fin Company*, najlepszą powieść Krzysztofa Bieleckiego (1992), którego *Nóż* (2019) lubię, ale chyba nie na tyle, żeby robić mu miejsce na tej liście.

Wrócę jeszcze na chwilę do gadulstwa i wspomnę *Ości* Ignacego Karpowicza (2013), które są fantastycznym przykładem eksperymentującej, choć nieeksperymentalnej literatury. Eksperymentującej, bo językowo odkrywczej, wielotematycznej, wielołosowej,

odważnie tnącej wątki, fabułę – Ości są jak budowla wzniesiona z klocków Lego – a nieeksperymentalnej, bo przecież podanej w formie wciągającej telenoweli. Znowu chodzi o język; Karpowicz pokazywał, co potrafi, czy to w *Niehalo* (2006), czy to w *Gestach* (2008), niemniej dopiero kilka lat później udało mu się napisać powieść o zwykłym (czy raczej niezwykłym, bo nieustannie traumatyzującym) życiu w sposób tak lekki, że da się ją pochłonąć w jeden wieczór. Też rozgadany, choć w inny sposób, jest *Pióropusz* Mariana Pilota (2011). Wprawdzie dziś – bo czytałem go ładnych parę lat temu – nie jestem w stanie przypomnieć sobie żadnych szczegółów fabuły, wyraźnie pamiętam jednak wciągający chaos słów i zdań, który wydaje mi się istotą tej powieści. Podważanie językowych przyzwyczajęń, przecieranie nowych ścieżek dla mowy, a właściwie tworzenie nowych form wyrazu – to dla mnie niewątpliwie artystyczna doskonałość. A jeśli już jesteśmy przy literaturze chłopskiej, to nie sposób nie przypomnieć *Skorunia* Macieja Płazy (2015), którego tekstu nie bałbym się porównywać z najważniejszymi powieściami Wiesława Myśliwskiego i który ostatnio wydał bardzo dobrą powieść *Golem* (2021, ale nad nią muszę się jeszcze chwilę zastanowić).

Nie mógłbym nie wspomnieć też o Justynie Bargielskiej, bo wszystko, co pisze Bargielska, jest po prostu wspaniałe (choć późniejsze wiersze są chyba lepsze, bardziej komunikatywne, konkretne), ale *Obsoletki* to Mount Everest wspaniałości, proza tak cięta, bystra, przenikliwa i morderczo zabawna w swojej straszności, że nie zostaje miejsca na nic poza czystym podziwem dla autorki.

I na koniec powieść niewolna od wad, może więc niedoskonała artystycznie, ale jednocześnie brawurowa – *Morfina* Szczepana Twardocha (2012). Nawet jeśli momentami Twardoch wpada w literackie klisze i ociera się o banał, całość robi wrażenie ze względu na narrację, która nadaje powieści niepowtarzalny rytm. Fragmenty, gdy demoniczna drugoosobowa narratorka przechwytuje monolog Konstantego i kradnie jego opowieść, jak gdyby stając się nim, choć przecież jednocześnie zwraca się wprost do niego, to pokaz umiejętności autora. Twardoch triumfuje właśnie dlatego, że udaje mu się napisać powieść językowo odważną, lecz przy tym wiarygodną, choć nie tylko językowo. *Morfina* to też dowód umiejętności tworzenia przez Twardocha rozbudowanych, wciągających opisów, podpartych wieloletnimi kwerendami. Wojenna Warszawa na kartach powieści ożywa barwniej niż w niektórych dokumentach z tamtych czasów.

Na koniec parę słów o poezji. Choć z wierszami sprawa jest trudniejsza, bo jeden będzie doskonały, inny nie – jak więc ocenić cały tom? Dlatego wybieram autorów, u których stężenie wierszy doskonałych jest proporcjonalnie większe niż u innych, i w nawiasie wskazuję ulubioną książkę. W kolejności absolutnie losowej to: Piotr Mitzner (*Przejścia*, 2021, wiersze wybrane z dwóch dekad twórczości), Jarosław Marek Rymkiewicz (*Zachód słońca w Milanówku*, 2002), Piotr Sommer (może *Dni i noce?*, 2009), Justyna Bargielska (genialne *Dziecko z darów*, 2019), no i Eugeniusz Tkaczyszyn-Dycki (nie umiem wybrać, może *Dzieje rodzin polskich*, 2005 albo *Piosenka o zależnościach i uzależnieniach*, 2008).

Najistotniejsze poznawczo utwory literatury polskiej ostatniego dwudziestolecia.

Maciej Libich: To problematyczne pytanie. Może dlatego, że w dziele „artystycznie doskonałym” powinna się zawierać (jakaś) wartość poznawcza? Więc oczywiście mógłbym po prostu powtórzyć wszystko, co przed chwilą powiedziałem... Spróbuję jednak dodać do tej listy dwie książki Adama Kaczanowskiego, które pozwalają spojrzeć na naszą turbokapitalistyczną rzeczywistość nieco inaczej, niż chciałby tego szeroko pojęty establishment: tom poetycki *Cele* (2019) i powieść *Utrata* (2021). Jeśli ktoś zrozumiał, dlaczego nasze życia wydają się tak zapętlone, głupie, nieistotne, i jeśli ktoś umie wytłumaczyć, dlaczego każdego dnia mamy ochotę tłuc głową w ścianę, to właśnie Kaczanowski. Choć mimo wszystko nie chciałbym robić z niego wyłącznie demistyfikatora kapitalizmu – jasne, robi to doskonale – bo pewnie w innym ustroju ekonomiczno-politycznym doszedłby do tych samych wniosków: nic nie ma sensu, ale przynajmniej możemy się z tego pośmiać (nawet jeśli w *Utracie* nie jest mu już do śmiechu). W sensie poznawczym wydaje mi się to naprawdę ważne.

Dzieła literackie ostatniego dwudziestolecia mające największy wpływ na inne utwory literatury polskiej.

Maciej Libich: Tu sprawa jest chyba prostsza, moje wybory pokrywają się zresztą w jakiejś mierze z werdyktami jury nagrody Nike. Kolejność – tym razem – chronologiczna: *Pod Mocnym Aniołem* Jerzego Pilcha (2000), *Wojna polsko-ruska pod flagą biało-czerwoną* Doroty Mastowskiej (2002), *Gnój* Wojciecha Kuczoka (2003), *Zwał* Sławomira Shutego (2004), *Jadąc do Babadag* Andrzeja Stasiuka (2004), *Lubiewo* Michała Witkowskiego (2005), *Bieguni* Olgi Tokarczuk (2007), *Nasza klasa* Tadeusza Stobdzianka (2008), *Morfina* Szczepana Twardocha (2012), *Ości* Ignacego Karpowicza (2013), *Psalmy* Julii Fiedorczuk (2017), *Rzeczy, których nie wyrzuciłem* Marcina Wichy (2017). Cóż, jeśli da się z tej listy coś wyczytać, to chyba tylko tyle, że czytamy o wiele za mało literatury, którą piszą kobiety. Albo ja czytam jej za mało.

Ulubione utwory literatury polskiej ostatniego dwudziestolecia.

Maciej Libich: Ulubione – czyli takie, do których można i chce się wracać. Na pewno (znów w losowej kolejności): późniejsze wiersze Macieja Roberta, dowcipne, przenikliwe, niepokojące i czute zarazem (*Superorganizm*, 2019; *Co mogło pójść nie tak?*, 2020); wiersze Dominika Bielickiego, przekorne, bystre (*Pawilony*, 2017); opowiadania Macieja Miłkowskiego (choćby poruszająca *Niedziela* opublikowana w „Wizjach”); wiersze Roberta Króla (*Polka*, 2018); antyklerykalne, duchologiczne, przesycone ironią opowiadania Aleksandry Borowiec (znów odsyłam do „Wizji”); uroczono-straszne rymowane wiersze Marcina Orlińskiego; boleśnie mechaniczne (w dobrym tego słowa

znaczeniu) prozy Łukasza Suskiewicza, z których wyłania się świat ludzkich nieporozumień; drapieżne opowiadania i dramaty Weroniki Murek (szczególnie *Wujaszki z Feinweinblein*, 2019); przygnębiające wiersze Genowefy Jakubowskiej-Fijałkowskiej, które – nieco paradoksalnie – sprawiają, że da się polubić życie; wiersze Jarosława Marka Rymkiewicza, zawsze i wszędzie; opowiadania Barbary Sadurskiej, z pozoru łagodne, choć w rzeczywistości ostre jak brzytwa (*Mapa*, 2019); wiersze Piotra Szewca, sennie, mgliste i rozpaczliwie tęskne do świata, którego już nie ma (*Światelko*, 2017); i jeszcze pewnie kilka powieści i zbiorów opowiadań, których na śmierć nie mogę sobie w tym momencie przypomnieć.

Najciekawsze debiuty ostatniego dwudziestolecia.

Maciej Libich: Zamiast pisać o debiutach sprzed dwudziestu lat, których autorzy mają już na koncie pewnie kilka albo i kilkanaście książek, sięgnę po te z ostatnich kilkunastu miesięcy. Na pierwszy ogień idzie *Różaglon* (2020) Filipa Matwiejczuka, którego wiersze kochałbym pewnie tak samo, gdyby nie był moim przyjacielem, a może nawet bardziej – to wiersze wściekłe, napędzane gniewem, lecz jednocześnie wyważone; wulgarne i skatologiczne, ale przezabawnie, w smaczny sposób; spełnione politycznie, choć spełniające się w zupełnie innym żywiole. Niewątpliwie też *Mapa* Barbary Sadurskiej (2019), która na polską scenę literacką wkroczyła z impetem godnym tarana; nie wyobrażam sobie, by za parę, paręnaście lat Sadurska nie dogoniła naszej drogiej noblistki. Poza tym: *Szalejów* (2019) Maćka Bobuli, autora dobrego tomu poetyckiego *wsie, animalia i miscellanea* (2018), który najlepiej odnajduje się w krótkich formach i pokazuje, że o wsi nie trzeba wcale pisać tak, jak każdy autor literatury chłopskiej. Na pewno też Maciej Topolski, autor ciekawych i mądrych wierszy, choć dla mnie przede wszystkim – przemawiających do wyobraźni, sensualnych próz o kelnerach zebranych w tomie *Niż* (2020). I wreszcie odnowiciel awangardy, Marcin Mokry, który zadebiutował świetnym tomem *czytanie. Pisma* (2017), by dwa lata później napisać jeszcze lepszy, naprawdę wstrząsający *Świergot* (2019).

Myślę, że na pewno warto przyglądać się też Monice Brągiel, Juliuszowi Pielichowskiemu, Katarzynie Szaulińskiej, Julii Niedziejko, uważnie zerkać w stronę Aleksandra Trojanowskiego, Michała Trusewicza i Katarzyny Szewdy i na pewno nie omijać wzrokiem Małgorzaty Boryczki, Katarzyny Pochmary-Balcer, Jarka Westermarka, Łukasza Barysa. Niebawem o każdym i każdej z nich powinno zrobić się głośno – albo głośniej.

Najciekawsze utwory zagraniczne ostatniego dwudziestolecia.

Maciej Libich: Zamiast stu książek, które chciałbym wymienić, jedna: *Łaskawe* Jonathana Littella (2006, wyd. pol. 2008, przeł. Magdalena Kamińska-Maurugeon), która bezlitośnie kompromituje ideologię nazistów, a może w ogóle każdą ideologię o totalno-totalitarnych zapędach, pokazując, że za pozornie wyrafinowaną kulturą oprawców

i hasłami wzywającymi do odnowy świata kryją się zwykle przemoc i pragnienie władzy. I jeszcze jedna, nadprogramowo – biografia Arthura Koestlera, którą przez niemal trzydzieści lat pisał Michael Scammell (*Koestler: The Indispensable Intellectual*, 2009) i która w ciągu najbliższego roku (uchylam rąbka tajemnicy) powinna ukazać się w Polsce. To nie książka – to przygoda. I tyle.



Monika Bordzoł, *Człowiek artefakt*